№ 15. 13. Kwietnia 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k.— Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Mgła wiślana.)*

Ponad Wisłą, nad Krakowem,
Na tle nieba lazurowem
Swiętojańską, jasną nocą
Mleczne roje gwiazd migocą
I z wiślanym cichym zdrojem
Poigrując światłem swojem
Na falistym drżą krzysztale....

A wiślane wzajem fale
Mgłę wieczorną, niby chmurę
Biało-puchą, zioną w górę,
Pod niebiosa, ponad łany....

I jak cały kraj wiślany—
Już powodzią niby złotą,
Zalan cały światłą grą tą
Mgły wiślanej z gwiazd połyskiem.

A z ubocza, w cieniu bliskiem
Krakusowej hen stolicy,
Na wieżycy, na strażnicy
Gwiazdomiernej, nieb powiernik,
Swiątobliwy ksiądz Kopernik
Z zodjakową w ręku stułą
Pod błyszczącą gwiazd kopułą
Jak w świątyni siedzi bożej—
Orlim wzrokiem każdej zorzy
Patrzy w oczy — zda się wcale,
Że siedzi w konfesionale
I spowiada boże gwiazdy
Z ich po niebie nocnej jazdy—
Aż mu każda z cicha zwierzy,
Jako świeci, jako bieży,
Jako czasem z bracią w zwadzie
Po niebiesiech mknie w niełedzie,
Od praw bożych zbacza, grzészy...
A on wszystko w nocnej ciszy
Rozważywszy w księgę kładzie.

I już wszystkie zbadał, zliczył
Wszystkim w księdze tór wytyczył,
Zna Wenerę, zna Jowisza,
I księżyca, towarzysza
Naszej ziemi, i Saturna —
Tylko jedna jakaś chmurna
Ćmi zasłona — Tylko jednéj,
Merkurego, mistrz spowiedny
Próżno dojrzeć oko sili,
Prożno tam i sam się chyli,
Próżno lepszej czeka chwili —
Nie dopatrzeć go! Merkury
Wciąż omglony, wciąż ponury,
Nie da sobie zajrzeć w oczy —
Bo wiślana mgła go mroczy.

Więc w poswarku z mgłą wiślaną
Zchodzi mistrz nasz z wieży rano,
Wezwać pismem włoskie mistrze,
Niech—powietrze mając czystsze—
Śledzą gwiazdę złą u siebie.

A na polskiem naszem niebie
Już Merkury po wiek—wieki,
We mgłę polskiej skryty rzeki,
Ćmawy, chmurny, nieżyczliwy,
Nie oświeca nasze niwy,
Nie przyświeca naszej doli —
Bo mu Wisła nie dozwoli.

Wisło! Wisło! Mgło wiślana!
Ciężka dola, sroga rana
Prze twą winę nam zadana!
Za-ż ty nie wiesz, drużko wroga,
Że to wprawdzie wola Boga
Władnie gwiazdmi, one przecie —
Jako o tem głośno w świecie —
Rządzą ludzmi — że z ich chęci

---

*) Czyński w swojem dziele *Kopernik et ses travaux*, str. 43 wspomina, że mgła wiślana nie dozwoliła astronomowi obliczyć ruchów planety Merkurjusza.

Złe lub dobre nam się święci —
Że nam Wenus do kochania,
Mars do wojny serce skłania,
Jowisz nas odyma pychą — ?
Ach, to wszystko zbędne licho
Nazbyt w sieć nas swoją mota!
Sam Merkury, bożek złota,
Handlu, krédki bożek zmyślny,
Z winy onej mgły tam wiślnéj
Nie przyświeca nam, nie poi
Serca wpływem zorzy swojéj.

Z winy mgło wiślana twojéj
Złoto nas się trzymać nie chce —
Handel duszy nam nie łechce—
Przemysł skrzętny w poniewierce—
Krédka hojne mierzi serce —
Wszystko z rąk nam ciecze, płynie,
Jako Wisła po krainie,
Jako łzy obfite z oka,
Jak zpod serca krwi posoka —
Ciecze, płynie i upływa
Z łzą i krwią nam dusza żywa.

Sz.

Jerzy Lubomirski

MARSZAŁEK W. HETMAN POLNY K. STAROSTA KRAKOWSKI.

(*Wyjątek z przedmowy do drukującego się dramatu tegoż samego nadpisu*)

(Dokończenie.)

Niesłychanym w historyi wolnych narodów przykładem zostaje I. L. przekupionym sądem, z pogwałceniem wszelkich praw i formalności od czci i życia odsądzony, musi ratować się ucieczką. Przesiadując na Szlązku, używa cierpliwie, przez rok cały, wszelkich sposobow przebłagania zagniewanego majestatu. Dopiero gdy one bezowocnemi się okazały, gdy wszelkie prywatne, sejmikowe, i sejmowe prośby narodu za Lubomirskim żadnego nie odniosły skutku, gdy cały przyjaźny Lubomirskiemu naród, zdziwiony jego cierpliwem znoszeniem najohydniejszego prześladowania jął szeptać, iż w zarzuconych mu sądem królewskim występkach jest może nieco prawdy, że — „słusznie jest skarany, kiedy za granicą siedząc, nie stara się o windykację wydartych sobie honorów“ — gdy niepłonna obudziła się trwoga, iż ośmielony bezkarnem uciemiężeniem Lubomirskiego dwór targnie się na uciemiężenie całej ojczyzny, w której „jużby trzeba było śpiewać *requiem* swobodom ojczystym“ — gdy wreszcie ze strony szlachty, od samego narodu przez marszałka Branickiego, chorążego Sładkowskiego i innych, wyraźne wezwanie do powrotu do Polski, do ratowania upadającej wolności, na Szlązk nadeszło, dopiero wtedy Lubomirski, zatrwożony niebezpieczeństwem swobód ojczystych, zagrożony w sławie swojej własnej niewinności, postanowił nie zważać na sąd nieprawy, wrócił do kraju. Ale i w ówczas jeszcze nie wkraczał on do ojczyzny z bronią w ręku, nie niósł wojny, lecz z ciągłą, nudzącą wreszcie w szczegółowym opisie tych dziejow (Historja Kochowskiego) cierpliwością, stara się o łaskę królewską dla siebie i narodu. Ani onto pierwszy wojnę podnosi, lecz dwór. „Dworowi to“—jak się spółczesna historja panowania Jana Kazimierza, główne historyczne źródło owych czasów, wyraża,—trzeba było ruszyć ze skarbu pieniędzy, uchwalonych na wojsko komputowe, i na wojnę domową obrócić, trzeba z Litwy wojsko ruszyć a Litwę Moskwie wydać, trzeba z Ukrainy wojsko koronne wyprowadzić na zgubę ojczyzny i prześladowanie Lubomirskiego. Jeszcze tego mało, trzeba było Kozaków wezwać i Tatarów zaciągnąć na opressją, nie tylko Lubomirskiego ale i całej ojczyzny. Jak na Turka zbierają potencją i armują się na głowę. Assystują hetmani królowi do obarczenia swobód, których powołanie bronić i zaszczycać staropolskiej wolności, wolą gubić ojczyznę, niżeli utracić fawory i respekta u dworu...“ A gdy już nawet Lubomirskiemu i stojącej w obronie swobod cząstce narodu albo bezwarunkowo na łaskę królewską poddać się, albo wojnę z królem wieść padło, nie wiedzie jej Lubomirski hufcami prywatnemi, zaciągniętem za pieniądze żołdactwem obcem ani wsparciem garstki osobistych stronników, ale za pomocą całej prawie szlachty koronnej, bo skonfederowanych województw krakowskiego, poznańskiego, sandomirskiego, kaliskiego, sieradzkiego, łęczyckiego, tudzież związku wojskowego. I wiedzie ją znowu zgodnie z całym dotychczasowym trybem

postępowania, t j. czysto odpornie, rozkazując swoim, zawsze tylko „bronić się, ale nie atakować królewskich“ — traktując ustawicznie z królem o łaskę. Ponieważ zaś wszelkie układy z zaślepionym w swej zawziętości dworem nikomu prócz Lubomirskiego prawdopodobnémi nie zdawały się, a ciągłe ruchy wojenne nareszcie nużyć zaczęły, przeto postanowiła zkonfederowana z Lubomirskim szlachta zmusić królewskich stanowczym ciosem do zgody i bez wiedzy Lubomirskiego — „który (według słów spółczesnej Historji panow. Jana Kaźm:) dobrze iż nie był w tej okazyi, boby związkowi nie odnieśli takiej wiktorji, gdyż pewnieby kazał umknąć się, nie staczając bitwy“—na głowę wojsko królewskie pod Częstochową pobiła. Zwycięzki Lubomirski mnogich jeńców królewskich, a pomiędzy nimi samego regimentarza Połubińskiego, przyjmuje sutym bankietem, w obozie po uczcie puszcza wszystkich na wolność, spieszonych obdarza końmi — Połubińskiemu hetman dwa rumaki darował, drugim starszyzna związkowa pożyczyła, inni pieszo musieli wracać“—mając króla w swej mocy, przystaje na „słownej“ ugodzie pod Palczynem, której postanowieniem sejm extraordynaryjny miał załatwić sprawę Lubomirskiego i szlachty z królem a Lubomirski tegoż załatwienia za granicą miał czekać. Wszakże dwór, szukający tylko przewłoki, nie myśli wcale dotrzymywać ugody. Przyrzeczone Lubomirskiemu przywrócenie czci i dostojeństw odroczono a projekt elekcji Kondeusza ciągle zatrważa szlachtę. Zniewaga narodu i Lubomirskiego do ostateczności posunięta. Powtarzają się więc dzieje roku zeszłego. Lubomirski wraca powtórnie. Cała szlachta kupi się wkoło niego. Nowe traktaty o pokoj znowu do niczego nie wiodą. Znowu tedy stanowczego potrzeba ciosu. Lecz przebrana miarka cierpliwości czyni cios powtórny nierównie krwawszym. Aby mówić ciągle własnemi owego czasu słowy: „Szlachta polska broniła się po desperacku, wolno wybijając się z niewoli... Szlachta po desperacku (pod Montwami) w ogień lazła.... Była pomiędzy niemi sprzeczka, kto na pierwszy ogień ma skoczyć. Kasztelan poznański z województwami tego domagał się. Pisarski, pułkownik krakowski, odpowiedział, że na niego dziś alternata z województwem krakowskiem przodkować do boju. Związkowi (wojsko) nie pozwalali, mówiąc: WM. Panowie nasi ojcowie i panowie, stójcie i przypatrujcie się, jak my słudzy i żołdowi WMPanów z nieprzyjacielem spotkamy się.“ (Hist. panow. Jana Kaźm. I. 391. 388.) „Pan Bóg zaś jak z początku tak i do końca przy niewinności stawał. „(Pasek 197.) Lubomirski lubo przeciw nierównie znaczniejszej potędze królewskiej, lubo przeciw wojennemu jeniuszowi hetmana Jana Sobieskiego walcząc, odniósł cudowne zwycięztwo. Pobity powtórnie dwór musi nareszcie uledz woli narodu. Ugodą łęgonicką zapewnia on Lubomirskiemu i całej szlachcie amnestję. Osobne dyploma królewskie, wyprzysięgające się raz na zawsze wszelkich dalszych o elekcję za życia starań, uwalnia naród od gniotącej go tak długo zmory kondeuszowskiej. Co kardynalnym warunkiem wolności narodowej uważano, prawo wolnego wyboru króla, wychodzi w końcu, za sprawą Lubomirskiego, zwycięzko z walki z wieloletniem, mnogiemi zagranicznemi intrygami podsycanem matactwem, ciemięztwem dworu. Lubomirski, ów niegdyś „pierwszy po Bogu restaurator wolności“ od Szweda, od niewoli zewnętrznej, staje się teraz po raz drugi restauratorem wolności od dworu, od niewoli domowej. I jakże on sobie w tym zenicie swojej sławy, swojej wielkości, poczyna? Oto będąc przewagą tylokrotnych najwyższych zasług, przewagą dwukrotnego, cudem niebios ubłogosławionego zwycięztwa nad królem, przewagą swojej nieograniczonej wziętości u szlachty, moralnym samowładcą narodu — uniża się królowi, błaga go w pokorze wiernego poddanego o przebaczenie i nie myśląc bynajmniej zbierać osobistych korzyści swego tryumfu, nie domagając się nawet wykonania zaprzysiężonej sobie restauracji dostojeństw i dóbr, poprzestając na samem osiągnięciu publicznego sprawy swej celu, usuwa się dobrowolnie za granicę, aby tam już tylko w krótce spokojnie, cicho, umrzeć. „Umarł — jak Pasek powiada — dobrowolnie, na

ból tylko głowy narzekając i mówiąc: kto głową robi, na głowę umierać musi"... Albo, jak Jemiołowski donosi: „czy z melancholji czy z paraliżu, prawie siedząc obumarł."

Owoż to niewymownie piękne zakończenie wielkiego życia, to umiarkowanie w zwycięzkiej wojnie, rozpoczętej i przeprowadzonej nie w widokach osobistych a jedynie dla dobra publicznego, ta podwójna zasługa ocalenia ojczyzny, jak niegdyś od ciemięztwa zewnętrznego, tak poźniej od niewoli wewnętrznej, ta wszechstronna wielkość zawodu publicznego, łącząca w sobie skończoną sławę mądrego polityka i gorliwego patryoty, uwieńczonego tylą zwycięztw bohatera i cnotliwego obywatela — słowem wielkość wielkiego człowieka, przy której sama rycerska wielkość największych wojowników narodu, jak Żółkiewski, Czarnecki, Sobieski, tyle jeszcze do życzenia pozostawia, a która naszego bohatera do moralnej wysokości Tarnowskich i Zamojskich podnosi — to wszystko spowodowało autora do przedstawienia swego hetmana w tak jasnem świetle, w jakiem go w dramacie obaczymy; to wszystko ujęło może zbyt żywo serce autora, ale nie przywiodło go, zda się, do zfałszowania historji...

Tomko Prawdzic.

Wierutna Bajka

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

II.

Wkrótce po tym śnie tak dziwnym urodziło się panu Bartłomiejowi dziécię; był to syn, a dano mu imie dziadowskie Tomasz.

Opisać radość matki i uniesienie ojca, ich uściski, łzy i pijatykę na chrzcinach, trudno; a gdybyśmy *per extensum* ten opis tu umieścili, nie wieleby się w nim nowego znalazło. Od niejakiego bowiem czasu tak bogaci jesteśmy w tego rodzaju obrazki narodowe, że moglibyśmy ich nieco nawet za pomierną cenę innej jakiej literaturze ustąpić.

Lecz idziemy dalej.

Rodzice tak byli uszczęśliwieni, że im nawet na myśl nie przychodziło posprzeczać się o wychowaniu dziecięcia. Nie widzieli też wcale dwojakiej ku temu drogi: jedną tylko. Tomko był ślicznem dziecięciem jasnowłosem, niebieskookiem, rumianém, nie zbyt żywem, ale jako to mówiono, *ciekawém*, rozmyślającém chętnie od lat młodych i tęskném.

Wszystko go zastanawiało, o każdą rzecz długo bez końca, z zapytania w zapytanie wpadając, do ostatka badał. Zbywano go wreście ni tém ni owém; a dziecko zbyte nie uspokojone pokręcało główką milcząc posłuszne gdy mu zamilknąć kazali, ale nieprzestawało myśléć i badać.

Ojciec i matka spoglądali po sobie, dziwili się ze strachem dowcipowi wielkiemu, wróżyli przyszłość swietną, i panu Bartłomiejowi nieraz sen ów na myśl przychodził, a gdy go przypomniał, kiwał głową bardzo długo.

Gdy Tomko podrósł nieco, poczęto mówić o Dyrektorze ale na nieszczęście starzy owi dobrych czasów Dyrektorowie co sługiwali za piędziesiąt złotych i dwie pary butów a jako *praemium diligentiae* otrzymywali w dzień imienin pańskich lub na rok nowy starą kapotę łataną na łokciach; co to utrzymawali regestra ekonomiczne, pilnowali w gorący czas pańszczyzny i batożyli chłopów niemiłosiernie: — znikli już byli z horyzontu.

Nic podobnego nie trafiało się.

Pan Bartłomiej sam wychowany przez podobnego Dyrektora i synowi innego nie życzył. Tym czasem ksiądz kanonik Sycyna zajął się początkową nauką chłopięcia, a nie mając co robić, bo go wikarjusz z niewielkiej parafji wyręczał; uważając Tomka za dobre *subjectum*, podjął się chętnie trochę go podkrzesać.

Nie długo to wszakże trwało; bo osobliwym trafem, zesłany został panu Bartłomiejowi taki właśnie na pozór Dyrektor, o jakim marzył, jakiego sobie życzył.

Jednego letniego wieczora, gdy z gumiennym na ganku o jutrzejszej robociznie rozprawiał, rostrząsając, czyby lepiej było nowe kosić sianko, czy już pokoszone gromadzić, we wrotach psy zaszczekały.

— Kokoż to tam pan Bóg prowadzi do nas? spytał gospodarz.

Postać wcale niepospolita ukazała się na podwórku, wysokiego wzrostu, ale trochę pochyły już mężczyzna, z zobwisłym wąsem, łysą głową, oczyma szaremi, głęboko w powiekach siedzącemi, usty skrzywionemi, jakby do uśmiechu szyderskiego, w długiej sukni ciemnoceglastego koloru podpasanej rzemiennym pasem z klamrą mosiężną, z kijem ogromnym w ręku, kroczył powoli ku gankowi.

— *Laudetur Jezus Christus.*

— *In saecula saeculorum Amen.* A co nam dobrego powiécie? spytał pan Bartłomiej.

— Dobrego? hę? rzekł nieznajomy. Wszystko *dobre* poszło dawno spać i obudzić się niemoże, *niezgorsze* drzymie, a *złe* chodzi po szerokim swiecie. Dobrego dawno w oczy niewidziałem.

— Któż jesteście i co was do nas prowadzi?

— Jestem człowiek jak widzicie, goły ale wesoły, stary ale jary, a prowadzi mnie Pan Bóg i oczy.

— Ale cel waszej podróży?

— Cel! ha! cel! *enigma*. A kto z nas wie dokąd idzie? odparł szydersko nieznajomy.

Pan Bartłomiej nie wiedział już jak zagadnąć, żeby się czegoś przecie więcej dowiedzieć.

— A zatem, rzekł, nie pytając więcej, witam was i proszę do chaty.

— Kolej tedy pytać na mnie, bo bez pytania nie ma rozmowy, a bez rozmowy niema życia. Nie potrzebujecie czasem Bakałarza?

— Jakto? wy bylibyście?

— Do usług waszych, stary Jakób Dołęga, a teraz ani *kup* bo niema za co, ani Dołęga; tylko niedołęga starzec co zęby zjadł do pieńkow na suchym dyrektorskim chlebie.

Posłyszawszy że u was chłopiec dorasta, i że mu już pierwszę zęby powypadały a drugie narosły przystawiłem się ofiarując moje usługi.

Mile zadziwiony pan Bartłomiej; że się bez porady żony nic nie działo, wywołał zaraz panią Hannę dla obejrzenia Dyrektora i zasięgnienia jej zdania.

Jakób Dołęga znany był w sąsiedztwie zdawna, ale z dziwnych słuchów które o nim chodziły. Nazywano go najpowszechniej dziwakiem jak pospolicie zowią tych których zrozumieć nie mogą. No to nazwisko wielce podobno zasługiwał: szydził łagodnie prawie ze wszystkich, prawie ze wszystkiego, zdawał się w nic nie wierzyć choć czasem gorąco się modlił; miewał chwilę wesela głośnego, to znów raptusy złośliwego smutku, w których chłostał nielitościwie co mu na ząb wpadło. Czasem roztrzepany jak dziecko, to znów poważny i surowy, szalony lub chmurny, nie wywnętrzał się nigdy do głębi, ani w utrapieniu ani w szale wesela. Obawiano go się i szanowano razem, był bowiem przy tych wadach uczciwy i cnoty nieposzlakowanej.

W życiu całém nic złego dobrowolnie nie popełnił, ale dziwactw bez miary i końca. Starego slacheckiego rodu, w młodości nawet *posessionatus* i dosyć majętny, stracił, przehulał co miał, nie zatroskawszy się nawet gdy mu już kąta własnego nie stało.

Wziął kij, podpasał się i poszedł wędrować i uczyć dzieci.

Gdzie był, jak wiek do starości przepędził, nikt dokładnie nie widział.

Co lat kilka, ukazywał się w swej okolicy, posiedział w niej chwilę i znów *per pedes* jak mówił, wędrował dalej. Grosz się go nie trzymał, bo nim rzucał, jakby jeszcze był bogatym i krewni nie chętnie przyznawali się do niego, on z nich sobie żartował. Że zaś jeden z braci był Prezesem Sądów granicznych, drugi Sędzią Powiatowym, myśleli że dostojeństwa, które na ramionach dźwigali, do ubogiego Dołęgi przyznać się im niedozwalały.

Znajomych pełno miał wszędzie; serdecznych przyjaciół mało lub żadnych (któż ma przyjaciół serdecznych o kiju chodzący i torbie?) wspominał czasem jednego, ale i ten dawno już był umarł; był to przyjaciel młodości.

Rodzaj Diogenesa wszelki wytwór i wygodę jako niewolę i pęta uważał, mówiąc: że nie my rzeczy których potrzebujemy lecz rzeczy nas mają. Sypiał na twardym tapczanie, chodził w jednej opończy na powszednie i swięta, jadł za przysmak chleb razowy z solą i wodą.

— Nie siedzę nigdzie długo, mawiał, bo niechcę pokochać nikogo; to tylko kłopot niepotrzebny.

A że pod ogorzałą i zmarszczoną skórą biło mu serce miękkie: rychło zewsząd uciekał, bo prędko umiał pokochać.

Co umiał z resztą? nikt tego dokładnie nie wiedział: to pewna ze z księdzem po łacinie o theologji rozprawiał jak theolog; z prawnikiem o procesie jak jurysta; z gospodarzem o roli jak ekonom, coby na tem zęby zjadł i nawet z niemcem Doktorem o medycynie po niemiecku szwargotał; talmud żydowski czytał dla rozrywki wieczorami, jakby był wychrztą.

Lubił bardzo czytać nie zawsze go jednak ten szał napadał. Czasem z książkami zamykał się namiętnie w nich zagrzebując, czasem na nie plwał i odrzucał je ze wzgardą. Słowem, był to człowiek niepojęty.

Takiego nauczyciela przyjął pan Bartłomiej do syna; w początku na rok, na dwa tylko początkowe lata zamierzając go zatrzymać; ale i mistrz do chłopca i dziecię do mistrza i rodzice do poczciwego Dołęgi tak się serdecznie przywiązali powoli, że rok za rokiem upływał, a oni rozstać się z nim niechcieli, owszem sami go zatrzymywali gdy brał za kij, i prosili usilnie, żeby pozostał jeszcze.

Stary mruczał, trochę się wyrywał i siedział: dziecku cudownie jak kwiat o słońcu gorejącem otwierała się i rozpromieniała główka.

Tego co to pospolicie zowią *nauką* u nas, nie dał mu mistrz w prawdzie; faktów, dat, figlów uczonych nie napchał mu do głowy; ale głowę do pojęcia wszystkiego co na swiecie uderzyć o nią mogło, usposobił i otworzył. Nie począł on jak pospolicie czynią, nieforemnej roboty bez narzędzi; narzędzie wprzód zaostrzał i sposobił.

Tomcio miał co to zowią otwartą głowę; roztropny, pojętny ciekawy i wiedzy chciwy aż do zbytku, łaknął tém żywiej, im bardziej Dołęga ociągał zię z wlewaniem mu nauki. Mistrz nic na pozór nie robił, przygotowywał tylko ucznia jak powiadał; uprawiał rolę, przewracał skiby, dwoił, troił, skrudlił, przepędzał, a na ziarno, powtarzał, bardzo jeszcze czasu dosyć.

Jednego poranka niewiedzieć, jak i dla czego nieodebrawszy reszty biednej należnej mu płacy, niepożegnawszy się z ucz-

niem i rodzicami jego, znikł stary Bakałarz. Dokąd się udał? dla czego dóm opuścił? nikt nie umiał wytłumaczyć.

Ale Tomcio był na drodze, którą dalej już sam mógł się jako tako kierować.

Oddano go tedy do szkół Jezuickich; tam bystrém swém pojęciem, niebardzo wszakże podobał się nowym swoim nauczycielom. Nadto szybko przejmował się przedmiotem nauki, i przechodząc zakreślone jej granice, sięgał po za stojące w koło mury, co ją przegradzały. Nauczyciele na jego pytania zuchwałe dziwnie potrząsali głową.

Po tém zaczęto go wybadywać, czyby niemiał ochoty wstąpić do zakonu?

Tomko odparł naiwnie, że nieczuje w sobie powołania. Starano się je wzbudzić, na próżno. Z filozofji odesłano go ojcu zapewniając że już bardzo dosyć umie na prostego ślachcica i przyszłego hreczkosieja. A Tomko utrzymywał *cum debita reverentia*, ruszając z lekka ramionami, że nic a nic z gruntu niepoznał a ledwie począł z rudymentami cokolwiek się oswajać.

Ojcjec na to *dictum* odwrócił się poważnie i spytał go.

— A co waści w głowie? czy to chcesz wyjść na uczonego żeby łokciami swiécić? czy na księdza?

— Nie ojcze Dobrodzieju, ale chciałbym coś umieć.

— Toć ojcowie Jezuici najlepiej wiedzą ile tobie umieć potrzeba, dość ci na ślachcica, tego co masz; bodaj czy nie więcej tam liznąłeś odemnie, com tylko z łaciną się trochę poborukał i rachunku skosztował, a *Gradus ad Parnassum* znam tylko z widzenia. — Pocóż waści więcej, księdzem taki nie będziesz bo mówią powołania nie czujesz.

— Nie czuję ojcze dobrodzieju!

— Więc po cóż ta nauka? Żebyś potém poczciwą gospodarką i ślacheckiem życiem gardził, mędrkował i świdrował myślą —

Tomko zamilkł i spuścił głowę.

— Z wielkiej nauki mówił dalej ojciec, muchy się w nosie lęgną, to raz; — powtóre, głowa się do góry zadziera, co także licha warte; tysiące złych myśli do głowy nalatuje i ze szczęścia, z życia bożego kwita. Nauka spokoju nie da, szczęścia nie da; a dziurawe łokcie i obałamuconę głowę nieochybnie.

— Mój ojcze, wybąknął ośmielając się Tomko, wychowany w staroświeckim uszanowaniu dla rodziców, natchniony téż prawdziwém do nich przywiązaniem; ojcze mój drogi, nie gniewaj się na mnie.

— A za cóż bym się miał gniewać?

— Za to co powiem może zbyt śmiało.

— To waść lepiej niemów —

Syn zamilkł posłusznie, ukłonił się i chciał odejść; pan Bartłomiej pogładził wąsa, ruszył ramionami, obejrzał się na żonę, która napróżno dawała mu znaki, aby Tomkowi owszem odwagi do szczerości poddał. —

— No i cóż tam? spytał ojciec —

— Wola ojca Dobrodzieja swięta, nic nie powiem —

— Grzészny jestem; ciekawość mnie bierze, co to tam tak głupiego miałeś powiedzieć — No mów smiało, nie będę się gniewał. Już to widzę ta pora przychodzi że jajca kury uczyć i przewodniczyć im poczną — Słucham waści.

Trzeba wiedzieć że poczciwy pan Bartłomiej jako żyw nigdy się w sercu na dziecię nie gniewał i wedle tradycji, gdy sądził że należało okazac oburzenie, nauczyć *mores* wystąpił z powagą swoją i obiawiał gniew niezgorzej udany jak na domyślnego aktora, aby dziecię z karbów nie wychodziło.

Tomko przy swoim rozumku, naiwny był i prostoduszny na podziw, czasem się to jedno z drugiem godzi i jedno z drugiem chodzi całe życie.

— Ojcze dobrodzieju, rzekł, to co mam mówić, przeciągnie się, chcę wyspowiadać się szczérze i do głębi serca.

— No to mów że waść, mów!

— Proszę więc o cierpliwość.

— Kto ma dzieci, musiał się jej nauczyć, odrzekł pretensjonalnie pan Bartłomiej zawijając poły od kapoty i siadając na sepeciku obok żony. Potem założył nogę na nogę, łokieć oparł o stolik, łysą głowę wziął w dłoń namulaną i siwe oczy wlepił w syna, któren mnąc w ręku surducinę stał przy progu pokornie, ze spuszczonemi oczyma.

Pani matka nieodwróciła oczów od jedynaka, pasąc je swym ulubieńcem; a w wejrzeniu poczciwej niewiasty tyle było głębokiego rozumu! Rozum bowiem i miłość patrzą jednakowo i choć częstokroć działają całkiem przeciwnie i jedno na przekór drugiemu. Któż nieprzyzna, że wejrzenie wszelkiej miłości pełne jest najwyższego rozumu?...

III.

— Kochany ojcze, kochana matko, rzekł po chwili Tomko dawno mi to na sercu cięży, żem sobie uczynił postanowienie bez zezwolenia, bez wiadomości nawet waszej; a jednak postanowienie niezłomne.

— Wszystko na świecie jest złomne, odparł surowo pan Bartłomiej — ale o jakimże to postanowieniu jest mowa? Goławąs miałby sam sobą kierować?

Tomko westchnął.

— Opowiem jak do tego przyszło, rzekł. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedym na naszym herbowym klejnocie zobaczył lwa nad mur wspiętego i coś trzymającego w łapach.

Spytałem starego Szymona coby to było? odpowiedział mi — słyszałem że to — *prawda*. Cóż to *prawda* Szymonie? dobadywałem się z kolei. — A ot, rzekł wskazując mi na stole słomianą podstawkę pod butelki, ot *prawda*. — Ale dodał; słyszałem, że prawda którą ten lew trzyma w łapach, ma być żelazna. — Do czegóż się zda prawda żelazna? pytałem go znowu. — Pan Bóg to jeden raczy wiedzieć — rzekł Szymon rozstawiając misy na stole. — A dla czegoż ta prawda

okrągła? mówiłem znowu. — Dla tego paniczu, że nie kwadratowa! odparł, a ta żelazna prawda herbowa, ćwiekiem mi w głowie utkwiła odłąd.

— Ale cóż może mieć za związek waścini dykteryjka, spytał ojciec, z waścinem postanowieniem?

— Natychmiast się to wyjaśni; smutnie pospieszył syn z odpowiedzią.

— Dotąd nic nie rozumiem, waść musiałeś podwarjować! Tomko niżej spuścił głowę i mruczał dalej.

— Odtąd myślałem tylko sam nie wiem dla czego, o prawdzie, wszystkich się pytałem, co to prawda? a od nikogoi o tem dostatecznie dowiedzieć się nie mogłem. Różnie różn tłumaczyli, opowiadali, a ze wszystkiego widać, że to jest jeszcze głęboką tajemnicą. Nikt dotąd nie wie dobrze co to jest prawda?

— Jakto niewie? obruszył się ojciec. Szymon to waści bardzo dobrze wytłumaczył, czegoż u diaska chcesz jeszcze?

— Ale to ojcze dobrodzieju, ja już podrosłszy od żelaznej i słomianej do duchownej prawdy przyszedłem i o nią się chciałbym dopytać. Ale i ta dla mnie żelazna.

— I prawisz o nich jak o żelaznym wilku, gdérał ojciec miotając się, czyś się waść blekotu objadł? czy sfiksował?

— Postanowiłem życie moje poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Dalipan oszalał, oszalał! Nauka przewróciła mu głowę! Co mi prawi o prawdzie! Albož to niewiész trutniu jakiś, że prawdą jest wszystko, co prawda.

Tu stary zaciął się i splunął.

— Że prawdą jest wszystko co prawdziwe, co nie fałsz, co.....

— Co nas uczy wiara, co nam mówi serce! dodała matka ratując jegomości który się jak wróbel w siatce targał.

— O tóż to! tak miałem mówić, podchwycił Bartłomiej — święta i śliczna odpowiedź! Otoż masz i z ust matki rezolucją finalną.

Tomko z uszanowaniem pocałował matkę w kolano ale milczał.

— Jeszcze ci nie dosyć?

Milczał uparcie.

— Postanowiłem, odezwał się po chwili, życie poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Ale pocóż szukać znalezionego?

— Nie wszyscy, kochany ojcze, mają szczęście w świętą taką prawdę wierzyć, rzekł Tomko. Każdy ma swoją wiarę, swoją prawdę, a cudzą fałszem zowie. Po szerokim swiecie tysiące mniemanych chodzi; mnie się zaś widzi, że powinna by być jedna tylko wielka prawda, jak jedno jest słońce co nam przyswiéca i Bóg co nas stworzył.

Rodzice spojrzeli po sobie, a ojcu nagle przyszedł na pamięć ów sen dziwaczny, który urodzenie Tomka poprzedził. Pobladł stary, ruszył ramiony i nic nie rzekł.

— Pytałżeś się kogo o te twoje mary? wybąknął po chwili.

— Wszystkich.

— Cóż ci odpowiadano?

— Każdy co innego.

— Musi to być coś na kształt tego, że prawda z każdej strony inaczej się wydaje. Ale po co waści ten klin sobie bić w głowę — kie licho ci go naniosło? Co tobie do tej prawdy? Prawda prawdą a ty Prawdzicem, ślachcicem, hreczkosiejem, katolikiem i kwita.

— Spać nie mogę, jeść nie mogę.

— Toby ci głowę ogolić kochanku! No — ale cóż ci przecie świta, co myślisz sobie z tą swoją djablą prawdą?

— Pójdę w swiat po nią.

Rodzice się porwali; ojcu znak zapytania we śnie widziany stał przed oczyma. Marzenie więc było wieszcze, chłopiec w kolebce przeznaczony na dziwne losy! Dwie łzy śrébrzyste puściły się ukradkiem z oczów panu Bartłomiejowi, a matka?

— Matka darmo płakała i łkanie tłumiła.

Stary ojciec nie pojmował syna, ale w sercu tłumaczył sobie to niesłychane przedsięwzięcie, jakąś wolę wyższą, któréj dla niego sen był znakiem. Matka, co już była o śnie tym zapomniała, rozpłynęła się we łzy jak po straconém dziecięciu.

— Tomaszu spojrzyj na łzy matki, te cię wstrzymać powinny, sucho zawarł pan Bartłomiej.

Tomko ukląkł przed nią i całując ją w ręce szepnął:

— Ja powrócę, matuniu! nie sprzeciwiaj się nie wstrzymuj mnie, iść muszę.

— Ale po cóż? dla czego?

— Za prawdą!

— Nie mówiłam że ci, że najbezpieczniej jest szukać jej w wierze i w sercu?

— A! matko kochana! matko droga! odparł syn cicho wiarę zachwiano we mnie, serce mówi do mnie niewyraźnie mówi znakami których sobie wytłumaczyć nie umiem. — Puść mnie, puść — ja wrócę do was, powrócę!

— Starzyśmy oboje, przerwał pan Bartłomiej — czas by było synowi nas wyręczyć, spodziéwaliśmy się tego. Praca mi już cięży gospodarstwo nie idzie w ład.

Tomko stał nieugięty, milczący.

Probowano jeszcze utrzymać go wszelkiemi sposoby, prosząc i płacząc, perswadując lecz wszystko napróżno. Nareście rodzice powiedzieli sobie. — Nie zabawi on tam długo powróci do zacisza, niech gdzie chce idzie z Bogiem.

A zatem zajęli się smutną wyprawą.

Gdy po staremu ślachcic z domu rodzicielskiego wyjeż-

dżał w swiat szukać szczęścia, by znaleść najczęściej guza lub plamę — czasem oboje, niestety! — wyprawiano go wierzchem z kilką talarami bitemi i skórą bitą także na pamiątkę. Szczupły zapas pieniężny groźbą niedostatku podsycał umysł i zmuszał do dobywania losu szturmem; bita skóra była jakby przypomnieniem, że na drodze do wzniesienia się lękać się nie trzeba cierpienia. — Potém błogosławiono, płakano i młodzieniec pełen nadziei w swiat ruszał — z Bogiem!

Nie tak już wyszedł nasz Tomko, bo i czas był minął gdy szlachta w ten sposób symbolicznie żegnana z domów ruszała szukać losu.

Dokoła zmieniało się wszystko ludzkie, twory tylko boże zostały jak były od wieków, — Obyczaje, mysli, dążenia, środki, wszystko przedzierżgnęło się nagle, inną przybrało twarz, inne suknie; wiek jeden konał, drugi się rodził wesół, śmiały i pewien siebie.

A my nagle ze średniowiecznych obyczajów i bytu skoczyliśmy bez przejscia prawie, bez widocznej przyczyny w nowe życie, prostém tylko naśladowaniem namiętném.

Zegar wieków uderzał pierwsze godziny XIX. stulecia.

Tomko o kiju, ze łzami w oczach wychodził z domu; ojciec i matka stali w progu i płakali patrząc. Szedł jak żebrak, jak ubogi szukać czego? czego oni nierozumieli; czego podobno nikt jeszcze nie znalazł.

Idźmy i my za nim.

IV.

A gdy wyszedł Tomko na szeroki swiat, pojaśniało mu rychło w oczach, poweselało na sercu; uczuł się sam i swobodny. Przed nim otworem stał cały boży swiat, niezmierzony, rozmaity, różnobarwny. Pamięć rodziców i rodzicielskiego domu znikła prędko przed namiętném pragnieniem wiedzy, przed ciekawością młodzieńczą, która w nim gorączką wrzała.

Stanął by się obejrzeć.

A wgłowie myśl mu płynęła:

— Dla czegożbym nie szukał naprzód prawdy w tworach bożych? czyliż usta ludzkie powiedzą kiedy więcej nad nie, lepiej nad nie o tajemnicach stworzenia i myśli przedwiecznej? Czyliż żywy twór nie więcej swiadczy od czczego słowa?

Rzucił kij i usiadł na kamieniu; a była to chwila blisko południa i lato właśnie skwarne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korespondencja literacka.

Poznań dnia 8 Marca.... Wiem mocno jak wiele pismu memu chłopskiemu zbywa na tych zaletach, które druk dla najpoczciwszéj klassy naszego narodu mieć winien; pracuję jak mogę, ale na me własne ograniczony siły czasem i kuleję, czasem i potknąć się zdarzy; widzę usterki i usiłuję coraz je więcej poprawić. Przecież publiczność moja co dnia rośnie, przez dwa miesiące swego istnienia pozyskał Wiarus 1300 prenumeratorów; widzę wielkość obowiązku przemawiania do ludu pragnącego żywéj wody i pokarmu zdrowego; proszę Boga, by mi raczył dopomódz i sił dodać i światła i miłości. A czując powinność także udzielania się ze wszystką bracią naszej ojczyzny, posyłam wam skromny darek; a jeżeli obok wzięcia u ludu pismo moje i oświeceńsi bracia z zadowoleniem wezmą do ręki, jeżeli lud je przyjmie nadal tak jak dotąd chciwie przyjmuje, a oświeceńsi się nauczą z niego, co i jak lud przyjmuje chętnie, cemój osiągnę wtedy i Bogu dzięki złożę. Z daleka bliskie od serca pozdrowienie wszystkim pracownikom na niwie narodowej.

X. Prusinowski,
redaktor i nakładca *Wiarusa.*

Wiadomości literackie.

W bibliotece niegdyś ks. kanonika Ławrowskiego zapisanej kapitule przemyślskiej znaleziono rękopis kroniki staroruskiej czasów Włodzimierza W. sięgającej, który albo jest poprawną kopią kroniki Nestora, albo prawdopodobnie zupełnie nową równoczesną kroniką.

Z Warszawy. Świeżo wyszła: *Historja prawa polskiego,* napisana i wykładana przed rokiem 1830 w warszawskim Aleksandryjskim uniwersytecie p. Jana W. Bandtkie Stężyńskiego. Dzieło pogrobowe, w 8ce w Warszawie 1850. Druk Banku Polskiego. Złp. 26. gr. 20.

Wyjdzie w krótce:

Część druga 2go tomu: *Kodeksu dyplomatycznego Rzyszczewskiego i Anton. Muczkowskiego; Opis historyczny miasta Sandomierza.* p. Chądzyńskiego. Nakładem Redakcji Biblioteki Warszawskiej wyszły i są do nabycia w księgarni *Jg. Klukowskiego:*

Budnik. Obrazek J. Kraszewskiego.

O znaczeniu Prus dawnych p. Dominika Szulca.

Powieści Ludu spisane z podań p. *Karola Balińskiego* wyboru i wydania *K. Wł. Wojcickiego.*

Pod prasą jest:

Paleontologia polska. Opis skamieniałych zwierząt i roślin polskich, Ludw. Zejsznera.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej E. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskie pod l. 77.